

Konkurs literacki:

„PODRÓŻE BEZ GRANIC - Z PRZESZKODAMI BEZ PRZESZKÓD”

Zastanawiałem się długo, która z moich 22 zagranicznych wypraw była tą, z której wrażeniami chciałbym podzielić się z innymi czytelnikami, no i oczywiście rzucić na kolana komisję, która będzie „dzieliła” nagrodami!

Fajnie było w słonecznej Chorwacji, a jeszcze fajniej w słonecznym, orientalnym Egipcie. Niezapomniane wrażenie wywarła sentymentalna podróż na Litwę z Polską w tle – cmentarz na Rosie i wędrówka śladami Adama Mickiewicza. Krótka, ale pełna niezapomnianych wrażeń była wycieczka po trzech stolicach – Bratysława, Budapeszt, Wiedeń. Ogrom kontrastów na Ukrainie i jej stolicy Kijowie, też miały swój urok i budziły refleksje.

Te i kilka innych podróży były jednak zbyt krótkimi, aby relacje z nich były dostatecznie barwne i interesujące, dlatego moje myśli skierowały się w inną stronę. Wybór padł na wyprawę, która odegrała największą rolę w moim podróżowaniu - BUŁGARIA.

Dlaczego Bułgaria? Od niej się zaczęło i była to moja pierwsza zagraniczna wyprawa, odkąd poruszam się na wózku. To po tej karkołomnej wyprawie, jak na dzisiejsze standardy podróżowania, postanowiłem, że będę zwiedzał świat, oczywiście w miarę posiadanych możliwości finansowych.

Był rok 1985, cztery lata po tym, jak usiadłem na wózek, a od dwóch lat byłem szczęśliwym posiadaczem „bryki” Fiat 126P. Pomysł podróży kiełkował „GDZIEŚ” we mnie od jakiegoś czasu. Wybór padł na Bułgarię, która była wówczas najmodniejszym kierunek wyjazdów Polaków na letni wypoczynek, oczywiście połączony z elementem handlowym.

Miałem jednak jeden problem – RODZINA!!! Zastanawiałem się, jak powiedzieć rodzinie o zamiarze tak dalekiego wyjazdu, a do tego nie spowodować, że chwycą za telefon i wezwą karetkę pogotowia z prośbą (a może żądaniem) gotowym do użycia kaftanem bezpieczeństwa. Pamiętam obawy mojej rodziny, kiedy wyjeżdżałem samochodem, gdzieś w Polskę i pytania – „a co ja zrobię gdy...”? zdefektuje samochód, zabraknie paliwa (czaszy kartek i CPN czynne w większości do 15), złapię gumę itp. Odpowiadałem, że będę się martwił, gdy to się stanie naprawdę.

No i szok. Jakież było moje zdziwienie, gdy po oznajmieniu, że jadę SAM! pod namiot na dwa tygodnie, na wczasy do Bułgarii, nikt z rodziny nie odezwał się słowem. Do dziś nie wiem, o czym wówczas pomyśleli? Wersja, że się chłop nagadał lub, że uderzyłem się mocno w głowę w wypadku, który posadził mnie na wózek jest całkiem możliwa! A może wiedzieli (jak mawiała mama), że „odkąd nauczyłem się jako dziecko chodzić, to zawsze chadzałem własnymi drogami” i próba wybicia mi z głowy pomysłu wyjazdu jest tylko stratą czasu.

Po kilku miesiącach załatwiania paszportu, robienia zakupów na drogę, organizacji odpowiedniego, wygodnego namiotu, kupna butli gazowych, dmuchanego materaca i „miliona” rzeczy niezbędnych do spędzenia dwóch tygodni na obczyźnie pod namiotem, zapakowałem cały majdan do „fiaciora”. Aby wszystkie bagaże się zmieściły, w tym celu wyjąłem z samochodu tylne siedzenie z oparciem oraz przedni fotel pasażera, aby wygospodarować miejsce dla mojego wózka, butli gazowej, kanistra z wodą i turystycznych garnków. Przecież trzeba było jeść i pić w podróży, która trwała dokładnie 5 dni i 4 noce i wyniosła 2, 500 km zanim dotarłem do miejsca biwakowania. Dzisiaj może się wydać szaleństwem, że tak długo trwała podróż do miejsca przeznaczenia, ale jeśli weźmiemy pod uwagę, że był to Fiat 126P, nieludzko

zapakowany bagażami i ówczesny stan dróg, a czasami ich brak (nie żartuję), chyba że klepisko nazwiemy drogą, a do tego przejazd przez całą Polskę (700 km), tranzyt przez Rosję, Rumunię i przez całą Bułgarię, to mamy odpowiedź, dlaczego trwało to tak długo. Inny rozdział można napisać o konieczności spędzania wielu godzin na przejściach granicznych. Oczekiwaniu 4 - 5 godzin na odprawę celną to wówczas chleb powszedni. A próba pójścia i powiedzieć celnikom, żeby się pospieszyli lub rzucenie innym, równie „rewelacyjnym” pomysłem, była ogromną szansą, aby kazali zjechać samochodem na specjalne stanowisko kontroli, gdzie wyjazd z niego po 10 godzinach, mógłby być sukcesem. Pozostawało cierpliwie czekać.

Gdy nieludzko zmęczony, dotarłem do celu podróży, pola namiotowego (Smokinya) pod Sozopolem, urokliwego miasteczka, położonego nad morzem Czarnym, niedaleko granicy z Turcją, zacząłem wyciągać z samochodu wózek z zamiarem rozpakowania rzeczy i rozbicia namiotu. Oczywiście od razu wzbudziłem zainteresowanie pozostałych biwakowiczów, których 80% stanowili Polacy. Pierwsze rozmowy i niedowierzające pytania – czy przyjechałem sam? Jeden facet to się nawet przeżegnał ze słowami; „chłopie, to ja jestem na nogach, a sam nie odważyłbym się na taką podróż”. Ale muszę przyznać z ręką na sercu - dzielnie mi chłopina namiot rozbijał, gdyż od razu (samorzutnie) zawiązał się komitet pomocy rodakowi w potrzebie i za pół godziny mogłem się „wprowadzić” do własnego „M” pod brezentem i tropikiem. Chwilę później poznałem fajne małżeństwo z Wrocławia, które do Bułgarii przyleciało samolotem, więc padła propozycja, że oni będą mi pomagać, ale w zamian podłączą się do mojego transportu. Bez aktu notarialnego i międzynarodowych umów, obie strony zaakceptowały pomysł, który postanowiliśmy przekuć w czyn już następnego dnia.

Pojechaliśmy do Sozopola, który był oddalony od naszego pola namiotowego o kilka kilometrów i był najbliższą położoną miejscowością. Bajka w połączeniu z prostotą. Około 5 tysięczne miasteczko, które jest jednym z najstarszych w Bułgarii, położone na kamienistym wybrzeżu. Pierwsze wzmianki o Sozopolu pochodzą z epoki brązu. Tereny dzisiejszego miasta zostały skolonizowane przez Milezjan, którzy nadali miastu nazwę Antheia, ale wkrótce nazwa została zmieniona na Apollonia. Apollonia zaślęła z tego, że znajdował się w niej olbrzymi pomnik Apollina i Calamis, który został przeniesiony przez Lukullusa do Rzymu. Nadmorskie położenie Sozopola pozwoliło rozpocząć polityczną i handlową współpracę z miastami Starożytnej Grecji – Milet, Ateny, Korynt, Heraklea oraz z wyspami – Rodos, Chios i Lesbos, co zapewniało dostatek i bogactwo mieszkańcom ówczesnego Sozopola. Dzisiejszy Sozopol jest kurortem turystycznym i mekką dla malarzy i rysowników, a to za sprawą niesamowitego, urokliwego klimatu panującego na uliczkach. Wąska zabudowa domów z wykorzystaniem kamienia i drewna, panujący na nich światłocień oraz klifowe usytuowanie domów, dają ogromne możliwości dla artystów. Kilka z tych, również kamiennych uliczek, prowadziło do portu, gdzie swoje kramy z owocami, warzywami i rękodziełem wystawiali mieszkańcy Sozopola. Dzięki korzystnemu klimatowi, oczom ukazywała się ogromna różnorodność gatunków i barw oferowanych produktów, a ich cena była niemal symboliczna. Poczęstunek arbuzem, czy innym owocem był codziennością i świadczył o otwartości i sympatii mieszkańców. Jako, że w swoich wędrówkach często zbaczam z utartych szlaków turystycznych, tak i tym razem zapuściłem się w jedną z uliczek i ...? Jakież było moje zdziwienie, kiedy zobaczyłem dwóch mężczyzn, którzy budowali łódź. I nie byłoby w tym chyba nic nadzwyczajnego, gdyby nie metoda, którą wykorzystywali. Z pewnością w taki sam sposób robiono łodzie przed setkami lat, z tą tylko różnicą, że panowie wykorzystywali, także współczesne narzędzia. Stałem, jak zauroczony

widząc, że dzięki beczce wypełnionej wodą i znajdującym się w niej otworze, oraz rozpalonemu pod beczką ognisku, rybacy wyginali ok. 20 cm belkę, która miała posłużyć za stępkę (główna belka konstrukcji od której zaczyna się budowę łodzi). Niesamowite wrażenie. Podobnie jak oglądanie w restauracji „Diabelski młyn” programu artystycznego, w którym tancerze w strojach ludowych, chodzili po rozżarzonych węglach. Pomimo upływu ćwierć wieku od mojej wizyty w Bułgarii, to w dalszym ciągu pamiętam smak sałatki szopskiej. Świeży ogórek skąpany w bałkańskim słońcem, pokrojony w kostkę, podobnie i pomidor, a wszystko posypane tartym, specjalnym gatunkiem sera koziego, produkowanego nieopodal. Trudno o bardziej prostą potrawę, ale smak pozostał po dziś dzień.

Ktoś powie, no i co w tym wszystkim jest takiego fascynującego? A i owszem jest! Fajnie jest zobaczyć na własne oczy wspaniałą architekturę, monumentalne katedry i kościoły, muzealne zbiory i wiele innych turystycznych atrakcji, tylko jest prawdą, że w dobie Internetu można włączyć komputer i większość cudów naszego świata obejrzeć bez ruszania się z domu. Ale nawet najbardziej wymyślne cuda techniki nie zastąpią smaków, zapachów, dotyku, kontaktu z innym człowiekiem, poznania jego obyczajów, jego kultury. Zejść z utartego turystycznego szlaku, zobaczyć życie codzienne innych narodów, a jeszcze uczestnictwo w nim osobiście, poprzez zaproszenie do stołu, zaproszenie do domu, rozmowę, wspólny posiłek, daje niezapomniane wrażenia, które pozostają w nas do końca życia. Mam marzenie, aby kiedyś wrócić do Bułgarii, tylko czy w cywilizacyjnej pogoni za współczesnymi dobrami, odnajdę klimat i smak dawnej Bułgarii? Może lepiej nie burzyć czaru dawnych wspomnień, a na mapie znaleźć inne ciekawe miejsce, aby tworzyć nowe podróżnicze marzenia i je realizować?

Mam wiele fotografii i slajdów z tej wyprawy, ale niestety, ich jakość jest tak podła, że lepiej przeczytać ten artykuł bez wizualnych upiększeń. Niektórym wystarczy wyobraźnia, a pozostałych zapraszam do Internetu, gdzie bez problemu można znaleźć wiele zdjęć z regionu Bułgarii, o którym piszę.

Pozdrawiam wszystkich „wędrowniczków” - Leszek